

Dodatek do Biuletynu Informacyjnego Organizacji Zakładowej
NSZZ "Solidarność" w Politechnice Wrocławskiej, nr 33, marzec 1984.

Adam Michnik

DZIEDZICTWO MARCA *)

Nie jest rzeczą łatwą ani prostą mówić na tematy historyczne dzisiaj, kiedy wszyscy mamy w głowie zupełnie co innego. Jeżeli wczoraj podejmuję taką krótką refleksję na sformułowany w tytule temat, to dlatego może, że jest to z mojej strony akt wiary w to, że podobnie jak przez te wszystkie lata dzielące nas od Marca inteligencja polska - w nader niesprzyjających warunkach - potrafiła w osobach swoich najwybitniejszych przedstawicieli sponować ciągłość refleksji umysłowej, która uczyniła z naszej kultury fragment kultury europejskiej, z naszej refleksji fragment refleksji europejskiej, tak samo i dzisiaj każdy z nas wobec swoich możliwości winien starać się nie poddawać się psychicznie, duchowo temu, co nadeje się nad przyszłość, i winien stawiać sobie wciąż pytania o przeszłość, które są zawsze pytaniami o tożsamość, o dzień dzisiejszy, a zatem i o przyszłość.

Pierwsza refleksja, jaka się nasuwa na temat dziedzictwa Marca, dziedzictwa ruchu studenckiego 1968 roku, jest taka oto, że porównując ruch studencki w Polsce z ruchem, który ogarnął w owym czasie kraje Europy zachodniej oraz uniwersytety amerykańskie, można mówić o jednej cesze wspólnej i o wielu zasadniczych różnicach. Cecha wspólna byłaby taka, że ci wszyscy, którzy - głosząc wprawdzie różne idee i formułując różne hasła - wyszli wtedy na ulice w Warszawie, Paryżu, Okfordzie, Berkeley, wiedzeni byli wczoraj jednym zasadniczym dążeniem: mieli poczucie, że dopóki ten świat jest taki jaki jest, to nie mają ochoty - żeby zacytować XIX-wiecznego poetę - umierać we własnym łóżku, i stawiali sobie pytanie, po co właściwie rano z tego łóżka wstawać do takiego świata. O ile jednak w Europie zachodniej i Ameryce ruch ewoluował w stronę form skrajnej lewicy, w stronę guchizmu, nierządka w stronę terrorizmu, o tyle w Polsce to wszystko, co z tego ruchu zostało i okazało się trwałą jego kontynuacją, odrzucało bowiem język, pewien zespół alagatów i formułek, i szukało nowego języka, zachowując przy tym troskę, która w Marcu wysuwała się na plan pierwszy, troskę - mówiąc najprościej - o poszerzenie wolności ludzkich w państwie i w społeczeństwie. Gdyby postawić sobie pytanie, co było w pierwszym momencie lekcją Marca dla całego społeczeństwa, to trzeba by posłużyć się dwiema formułami, które wtedy właśnie w 68 roku, często były cytowane w dyskusjach polskiej inteligencji. Kiedy publicysta "Prawa i Życia", Tadeusz Kur, swoim drapieżnym piórem demaskował nadużycia świeżo usuniętych z Uniwersytetu profesorów, to w skonfiskowanym artykule, będąc na łamach "Polityki", jeden z publicystów, kwestionując informacje na których opierał się autor artykułu z "Prawa i Życia", nasytował swoją replikę "Kur wie lepiej". I ów tytuł "Kur wie lepiej" pozostał jako ta właśnie lekcja, ta nauka płynąca z wydarzeń marcowych. Ale w tym samym czasie, kiedy powtarzano ten tytuł, byli inni, którzy już wtedy mówili, że Polska jest takim dziwnym krajem, gdzie nie warto być świnia, że to po prostu się nie kalkuluje, i jeżeli zważywszy na późniejsze kariery "marcowych rycerzy", na ich intelektualne dekonanie, na ich dorobek umysłowy czy pisarski, to powiedzić trzeba, że istotnie w Polsce nie warto być świnia.

Wiedle tego, bardzo subiektywnego punktu widzenia - bo chcę się zastanowić na wstępie, że w refleksjach nad 68 rokiem nie jestem obiektywny i nie chciałbym nawet za takiego uchodzić, jestem przecież aktorem tych wydarzeń - 68 rok to niewątpliwie najważniejszy rok w mojej biografii, i to

*) Przedrukujemy ten tekst wystąpienia A. Michnika w marcu 1981r. na sesji Marzec 68, opublikowany w książce Marzec 68, SOVA, Warszawa 1981.



co mówię, nie będzie ciekawym, akademickim wykładem, ale swego rodzaju świadectwem, świadectwem dziecięcia w starszym wieku, jak mawiał mój mistrz, Antoni Słonimski - otóż ja myślę, że Marzec był końcem i był początkiem. Był początkiem nowej świadomości i był końcem złudzeń. Złudzeń dwójki typu: z jednej strony końcem złudzeń lewicy państwowej, ludzi, którzy w 56 roku żywili przekonanie, że możliwy jest demokratyczny socjalizm pod światłym kierownictwem Władysława Gomułki, z drugiej zaś - końcem złudzeń aparatu, który uformował się w ćwierćwiecie gomułkowskim dzielącym Państwem od Marca, aparatu, który wierzył w to, że formuła Gomułki, budująca władzę na autorytecie jednostki, jest wystarczająca. I w tym właśnie sensie skończył się świat zakłamanej języka, zakłamanej po obu stronach, świat fałszywej, jednoci w imię socjalizmu, w imię polskiej racji stanu. Bo w tym języku potrafili w owych latach porozumieć się wybitni politycy katolicy z kierownictwem partii i z liberalnymi profesorami, moi profesorem z tego Uniwersytetu. I właśnie w 68 roku naga przemoc, brutalność policji, tej policji od pałec i tej orwellowskiej policji od myśli, doprowadziła do konfrontacji dwóch różnych racji stanu i dwóch różnych wizji socjalizmu. Racji stanu wstępującej elity władzy, która rzucała właśnie wtedy w 68 roku niewygodny i uciążliwy bagaż tradycji demokratycznej, tradycji lewicowej i która zaczynała obficie czerpać z wzorców ideologicznych totalitarnego nacjonalizmu oraz racji stanu demokratycznej inteligencji, zwłaszcza młodzieży studenckiej, która dosyć miała marazmu, dosyć miała postępującego rozwoju między ideą deklarowaną a praktyką realizowaną, i która na koniec dosyć miała miłosierdzia wobec coraz to bardziej duszącego knebla cenzury i patli coraz to silniejszej naciskającej się na gardło narodowej kultury. Skończyła się wtedy, wedle innej formuły, "zła stabilizacja", zaczęła się "zła apokalipsa". Właśnie zła. Należy zła, by ją przetrwać, na tyle apokalipsa, by ją przetrwać i przetrwać.

I kiedy myślę o marcowym dzieciństwie, to myślę o jego dwóch twarzach: jedwabna, to dzieciństwo ideologiczne władzy. Dla władzy marzec 68 roku jest ważną datą nie tylko dlatego, że w karierach obecnej elity partyjno-rządowej, która właśnie wtedy zdobywała kolejne szczeble na ścieżce wiodącej do władzy, jest to data gwałtownych zmian. Proszę spojrzeć na życiorys naszego premiera, na życiorys pierwszego sekretarza i wicepremierów, wszyscy oni w 68 roku zrobili ogromny krok naprzód. Ta data jest zaklęta. Tej daty, tych wydarzeń, kierownictwo nie chce przewidywać. Dlaczego? Chyba dlatego, że jest to data wspólna, data wspólnego udziału w świadomości. I dla kierownictwa partyjnego wyrzec się tradycji Marca to wyrzec się tym samym anatemy racjonalnej na polską myśl niepokorną, na odradzającą się władzę, wtedy polską tradycję antytalitarną. Innymi słowy, wyrzec się tradycji Marca to dla władzy wyrzec się własnej negatywnej tożsamości. Kiedy dziś zastanawiamy się, jakie były wiodące cechy ideologii która w Marcu objawiła się w całej swej okazałości, a która istniała już przecież we fragmentach, w zarysach, w odłamkach /by wspomnieć choćby o tak zwanej grupie instalińskiej w 1956r./, należy - rezygnując z całociowego wykładu /a wdziesięć byłoby to temat dla badacza politycznej psychopatologii naszych czasów/ - zwrócić uwagę przynajmniej na trzy konstytutywne cechy tego syndromu ideologicznego, który wtedy właśnie, w 68 roku, objawił się w sposób tak gromki i agresywny.

Te cechy to autorytaryzm, populizm i ksenofobia. Był to państwowy autorytaryzm, o tyle osobliwy wszakże, że posłusznie dawał ucha instrukcjom obcego mocarstwa. Był to populizm chętnie odwołujący się do naseł egalitarnych, o tyle osobliwy wszakże, że w skispach ze zóftymi firankami rozpoznawał i uniał wysiedzić tych przywódców, którzy byli świeżo zdegradowani. Była to ksenofobia, o tyle wszakże dziwna, że w kraju podporządkowanym Rosji manifestowała się, wyłącznie niemi, jako nienawiść do żydów. Innymi słowy przedmiotem konstytutywną cechą tego syndromu ideologicznego, który w marcu można było oglądać na łamach gazet, była jego nieautentyzność, czy też - jeszcze inaczej mówiąc - jego nihilizm. Padeusz Krawski przed wielu laty na pytanie, czy faszyzm był kontynuacją tradycji europejskiej, odpowiedział negatywnie. Myślę, że na pytanie, czy ów marcowy syndrom ideologiczny był kontynuacją jakiegokolwiek kanonu tradycji polskiej, również trzeba odpowiedzieć negatywnie. Nie była to bowiem wbrew poszerom kontynuacja szkoły politycznej Romana Dmowskiego, szkoły narodowej demokracji z początku dwudziestego wieku, choć nieraz za taką chciała uchodzić. Albowiem myśl polityczna narodowej demokracji - jakkolwiek byłoby się wobec niej krytyczna, a ów krytycyzm jest na przykład moim udziałem - była przecież myślą niepodległościową, była refleksją nad budową państwowości polskiego społeczeństwa. Ideologia ludzi marca ze strony rządowej była ideologią skierowaną jedynie na zniewolenie i na destrukcję. Dlatego ten syndrom nie miał swojego historycznego rozwinięcia w późniejszych latach. Jeżeli dziś po trzydziestu latach powraca w cwej demonstracji na placu na Rozdrożu, to powraca - aby udyć celnej formuły Karola Marksa - jako faras, która jest zakosnym powtórzeniem zdarzeń dramatycznych. Powraca jako schizofreniczne wisze świata ludzi starych i przegranych, którzy szukają kompensacji oraz ludzi młodych i niezdolnych, którzy szukają pomocy.

A jednak ten syndrom miał i swoje pozytywne skutki. I nie idzie mi tu tylko o poszerzenie refleksji historycznej z zakresu najnowszej historii naszego kraju. Idzie mi raczej o skierowanie, mimo-wole choćby, polskiej refleksji na problematykę, która przez wiele lat ze stu powodów była ignorowana i pomijana. Idzie mi tutaj o problematykę normalnej świeckiej refleksji nad ciągłością polskiej tradycji historycznej, normalnej refleksji nad własnym miejscem w polskim procesie dziejowym, wreszcie normalnej refleksji nad problemem Rosji, nad problemem Niemiec, nad kwestią żydowską. Posłużyć się przykładem. Jeśli w 1958 r. profesor Jerzy Szacki opublikował świetną zresztą książkę o Henrym Mochneckim, to mógł nie wspominać w niej o stosunku Mochneckiego do Rosji. Nie było to zdumiewające dla czytelników opinii. Po 68 roku, po interwencji w Czechosłowacji było to już niemożliwe. I nie przypadkowo po 68 roku właśnie powstały w naszej literaturze takie książki, jak Mariana Brandysa "Koniec świata szwoleżów", Andrzej Kijowski "Wiosna listopadowa", Kazimierz Brandysa "Tariacje pocztowe", czy książki pani profesor Marii Janion o romantyzmie. Wszystkie te dokonania - s można by mnożyć i autorów i tytuły - są, jak się zdaje, próbą nowego odczytania naszej historii. Te historie po raz pierwszy po roku 45 w polskiej kulturze oficjalnej odczytuje - by zacytować postę - "syn podbitego narodu", ale i "syn niepodległej pieśni". I po raz pierwszy odczytuje tę historię, stawiając jej nowe pytania, polski intelektualista, który nie pamięta już Polski innej, Polski niekomunistycznej. A różne to były pytania i różne to były interpretacje.

Te pytania i te interpretacje poprzedziło totalne zakwestionowanie sfery języka. Języka wiedzy, języka propagandy, tej oficjalnej nowomowy, a także języka otoczonej refleksji. Ten stary język przedmarcowy spłonął wraz z gazetami, które palili studenci. Albowiem kiedy studenci, skandując hasło "Prasa kłamie", palili gazety wypełnione kłamstwem plugawym i agresywnym, to wtedy właśnie opinia publiczna, jak się wydaje, na nowo odczytywała, na nowo i głębiej uświadamiała sobie sens elementarnych słów i fundamentalnych wartości. Kończył się bowiem - powtórzmy to - czas "małej stabilizacji", zaczynała się epoka "małej apokalipsy".

W tym świecie "małej apokalipsy" trzeba było siebie na nowo odszukać po to, by móc siebie, swą autentyczność, swą duszę ocalić. Spisując biografię duchową Tadeusza Borowskiego, dwudziesto-kilkuletni krytyk Andrzej Werner stawiał pytanie o sens faszyzmu dla swego pokolenia; pokolenia, któremu faszyzm najbrutalniej objawił się z piśmi "Prawa i Życia", "Walki Młodych" i innych pism, przemawiających wówczas językiem "Stärmers" i językiem procesów moskiewskich. Pytanie o faszyzm naszych czasów stawiali młodzi poeci i młodzi krytycy: mój rówieśnik Barańczak w jednym ze swoich esejów szukał odpowiedzi na współczesny faszyzm w wierszach demaskujących język, w wierszach obnażających kłamstwo dnia codziennego, w wierszach trudnych i elitarnych, w wierszach Karpowicza, Wirpszy, czy Białoszewskiego. Ryszard Krynicki konstatawał, że faszyści zmieniają koszule, zaś Adam Zagajewski odmawiał podania ręki "temu członkowi", a ten członek" był fascystą. Refleksja nad faszyzmem, nad tym doświadczeniem zaczęła wtedy - może bardziej niż przedtem, a napewno inaczej niż przedtem - odgrywać niezwykle istotną rolę w naszym życiu umysłowym. O państwach faszystowskich pisał Wiktor Woroszyński; "Wartości i przemoc", to tytuł studium Anny Pawłowskiej o Oświęcimiu; "Chrześcijaństwo w Trzeciej Rzeszy" to bohater esejów Anny Morawskiej i Tadeusza Mazowieckiego. Szkice o destrukcji nadziei w świecie faszyzmu to temat powieści Bogdana Wojdowskiego "Chleb przucyony umarłym". I tutaj tytuły i dyskusje można by mnożyć. Klemperer i Bertold Brecht, Dietrich Bonhoeffer i Tomasz Mann, Rauschning i Rock-Melleczewen - to nazwiska, które często powracają w esejistyce i publicystyce tego czasu.

Faszyzm dla dziedziców Marxa nie jest po prostu tylko konstatowaniem historycznym. Jest również sposobem rozumienia samego siebie, odczytywania na nowo sensu własnego życia i własnego czasu. Jest inspiracją do refleksji o tym, jak samotny człowiek może stawić czoło totalitarnemu zagrożeniu. Zaś refleksja nad faszyzmem zespólna z obserwacją codzienności uczyla wtedy nowego rozumienia sensu tradycyjnych wartości demokracji mieszczańskiej i tradycyjnych wartości chrześcijańskiej etyki. Taki kierunek ewolucji na przykład można bardzo łatwo wyczuć na łamach kwartalnika "Aneka", świetnie redagowanego pisma pomocniczej emigracji. Podobny, choć w pewnym sensie odmienny kierunek zmian w świadomości umysłowej ukazuje książka Benedekta Gwizdalskiego "Rozdwojony niepokorny", świetny historyczny esej, który tłumaczy - rozwijając niektóre wątki publicystyki "Wigili" czy "Tygodnika 'Wschodnierny'" - wartości chrześcijańskie na język lewicy społecznej, a wartości lewicy społecznej na język chrześcijaństwa.

„Przekroczenie kręgosłupa kół, dzielących Polaka-rodzaka od Polaka-katolika, to, jak mi się wydaje, jedna z najmniejszych wartości pomarcowego dziedzictwa. Chrześcijaństwo jako system transcendentnych wartości i Kościół katolicki jako instytucja, która opoka i depozytariusz w świecie totalnej dyktatury zaczęły jawić się różnym ludziom – często od Kościoła odległym, by nie rzec wrogim – w nowym świecie: zaś tradycja jako źródło ludzkiej oraz polskiej nadziei – to temat bardzo ważnych dla tamtej, pomarcowej epoki esejów historycznych Wojciecha Karpińskiego i Marcina Króla, esejów o „stańczykach” krakowskich i margrabim Wielopolskim, o Henryku Rzewuskim i o Tocqueville’u.

Spór o historię jawi się – bardzo rzecz upraszczając – jako rozpisanie w dziejach konflikt myśli wolnej i niepodległej ze światem zniewolenia umysłowego, z myślą dogmatyczną, „myślą zaprzeczną”. I pomyślnym układem odniesienia stają się ci właśnie, którzy szanują organiczną tkankę narodowego bytu, jedynego gwaranta ciągłości historycznej narodu w epoce burzliwych, trwających przez cały XIX wiek, gwałtownych przeobrażeń. Zwieńczeniem tych organicznych dzieł rozpisanym na rolę we wszystkich niemal warunkach i we wszystkich epokach, miało się stać w czasach rozbiorowych odzyskanie niepodległości w 1918 r. Przeciw takiej problematyce polskiej historii protestował świetny krytyk tego pokolenia Tomasz Burak, przeciwstawiając kultowi Polski anno domini 1918, ową – jak powiedział – Polski „kochajmy się”, swoją wizję Polski 1905 r., Polski autentycznych konfliktów społecznych i napięć intelektualnych. Początek dwudziestego wieku przykuwał uwagę. Ten czas, czas rodzenia się nowoczesnej kultury polskiej i nowoczesnej polityki polskiej, czas Piłsudskiego i Dmowskiego, Róży Luksemburg i Witosa, czas Wyspiańskiego i Żeromskiego, Brzozowskiego i Boga, czas narodzin nowoczesnej polskiej podmiotowości, ten czas fascynował wszystkich. Tam właśnie nie przypadkowo szukano inspiracji i wzorów dla działań późniejszych, które miały być refleksją nad budowaniem niezależnych od władz instytucji, refleksją nad budowaniem nowej formuły społecznych zachowań w obliczu totalitarnej dyktatury. Psychiczny rozbrat ze światem oficjalnych struktur czynił owych intelektualnych dysydentów tamtych czasów bezbronnymi; duchowy i intelektualny dom trzeba było stworzyć sobie samemu, choć nie od zera, lecz to, co istniało, trzeba było umieć samemu odnaleźć. Miedawno wyświe-tlony film Janusza Kijowskiego „Kung-fu” opisuje, w moim przekonaniu, bardzo charakterystyczną cechę tego dziedzictwa i tego pokolenia. Ten nowy duchowy dom budowano rozmaicie i budowali go rozmaici ludzie, z różnych środowisk, o różnych tradycjach i różnych temperamentach, i szukali w różnych miejscach – jedni w psychoterapii, drudzy w historii, jedni w poezji lingwistycznej, drudzy w nowej lewicy. Rozmaicie więc budowano, lecz – jak mi się wydaje – obowiązywała w tym pokoleniu marcowych dziedziców pewna osobliwa pokoleniowa lojalność i solidarność. Film Kijowskiego pokazuje to bardzo precyzyjnie. I kiedy budowano ten dom, to wyklinali się z wolna przed oczyma ludzi, którzy wyszli z Marcu, cienie zapomnianych przodków insurekcyjnistów i spiskowców, rzeszników ugody i rzeszników pracy organicznej.

Powracały w rozmowach, w polemikach, przekięte polskie pytania o powstania narodowe i wallenrodyzm, o Rosję i o Niemcy, o kompromis i o świadectwo, o romantyzm i o realizm. Jedno i drugie próbowano nazwać, odczytać, zrozumieć na nowo. Z romantyzmu - można cnyba zaryzykować taką tezę - czerpano przekonanie o potrzebie świadectwa. Realizm pozwalał przyoblec to świadectwo w instytucjonalny kształt i wydaje mi się, że wtedy właśnie wypracowana została owa zasadnicza mądrość, głosząca - aby użyć formuły Jacka Kuronia - że jest czas dawania świadectwa i czas politykowania. Wydaje mi się, że ruch niezależnych instytucji w następnych latach - to wynik tamtych refleksji, tamtych sporów, najistotniejszy być może efekt tamtego marcowego dziedzictwa.

Wydarzeniom marcowym 68 roku w Polsce towarzyszyła Czechosłowacja, praska wiosna, i pamięć o 68 roku nie może być dla nas pamięcią po prostu o tym, co wydarzyło się w Polsce. To również pamięć - dziś trzeba to powiedzieć głośno - o narodowej hańbie, jaką był udział wojsk polskich w okupacji Czechosłowacji. To także pamięć o czeskich przyjacielach, którzy nas Polaków, kopanych wtedy, bronili w swoich gazetach, słowem mówionym i pisanym, i którzy za to zapłacili. Może dlatego właśnie ja czuję się w obowiązku tu, z tego miejsca, dopóki jeszcze mogę, upomnieć się - wierzę, że nie tylko we własnym imieniu - o przyjaciela Polski uwiecznionego w Czechosłowacji, o znakomitego pisarza i eszystę Václava Havala, i tu, z tego miejsca powiedzieć, że Havel nie jest sam, że ma wśród nas przyjaciół. Pamięć o 68 roku to również pamięć o tragicznym końcu praskiej wiosny, o zasadniczych przysługach ówczesnej tragedii. I dlatego świadomi tamtych doświadczeń, dziś chcemy i szukamy kompromisu, postępujemy z umiarem, powodujemy się rozsługą. Ale dlatego też, w imię tejże rozsług i tego kompromisu, wszyscy winni wiedzieć i rozumieć, że naszej wolności, tak drogo okupionej, nie oddamy i będziemy bronić za wszelką cenę.

Nie lubię patosu, lepiej czuję się operując ironią i sarkazmem. Dziś jednak, w chwili tak trudnej dla nas wszystkich, kiedy ważą się losy naszego kraju, pozwólcie mi na łyk patosu, na cytat z wiersza, który wydaje mi się - może na dziś przynajmniej - sumną, pointą marcowego dziedzictwa, na cytat z wiersza Kazimierza Wierzyńskiego:

Powstaje dramat - żywy. Okopcie kurnany
I żywi na kurnanach, na okopach stańcie.
Naprawdę dokonywa się świat rymowany,
Biją polskie zegary kurant po kurancie.
Naprawdę idzie pożar. Na ściany się wędruje
Gęstą kłuną, co wszystko z tych murów pościera
Orócz krwi zapisanej na waszej katedrze:
Że tym się tylko żyje, za co się umiera.

22 marca 1981r.